

Rozdział V

Cienie i blizny

Corvo, Bramin

Bramin zaprowadził roztrzęsioną Agatę do herbaciarni, sąsiadującej z jego niedawnym sektorem do przesłuchań. Pachniało tu ziołami, starymi ludźmi i pleśnią. Gospodyni o pomarszczonej twarzy uwijała się przy piecu kaflowym, przygotowując uspokajającą mieszankę w żelaznym imbryku.

Bramin pocieszał i uspokajał Agatę, czasem robiąc pauzę na podgryzanie kruchych ciasteczek. Lokal chyba nie cieszył się popularnością: stoliki i meble były przykurzone.

Corvo przechadzał się od niechcienia w tę i z powrotem, dotykając pęków ziół zwisających z sufitu. Wydawał się zaintrygowany ścianą lokalu, pokrytą ogromnym obrazem z mchu poduszkowego.

Co bardziej wypukłe kępki wyglądały jak las, a ciemny i bardziej płaski, zabarwiony na szaro mech układał się w zakrzywioną ścieżkę. Dzięki zabawom z perspektywą wydawało się, że prowadzi ona w dal, do wiejskiej chaty.

Zaplecze kryło się za kotarą, zza której gospodyni wróciła z kolejną porcją ciasteczek. Siwe włosy poprzetykane orzechowymi pasemkami schowała pod staroświecką chustą, dla kontrastu na nosie miała całkiem nowoczesne okulary połówki.

– To wielkie nieszczęście – rzuciła smutno starowinka, drapiąc się po brodawce. – Dom samobójcy przynosi pecha wszystkim domownikom.

– Pani Jagienko, czy możemy porozmawiać na osobności? – zagaił Bramin, wskazując na kotarę zaplecza.

Kobieta spojrzała przenikliwie i podniosła się, sapiąc.

– Oczywiście, młody przystojniaku, chętnie pójdę z tobą na spacer – zaśmiała się, łapiąc go pod ramię.

Niby przypadkiem otarła się o jego szynkowate pośladki.

– Auć! – zaśpiewał falsetem, stając na palcach i zaciskając zad, kiedy niby przypadkiem go szczyknęła.

Oparła ubrudzone sadzą palce na jego boku.

Wyszli, zostawiając Corvo sam na sam z pochlipującą kobietą. Agata wstała i podeszła do podinspektora nieśmiało. Pochylając się, zapytała:

– Panie Corvo, naprawdę wierzy pan, że to było morderstwo?

– Jestem tego pewien.

– Ja błagam... różnie było między nami ostatnio, ale wiem, że on nie zasłużył na taki koniec. Niech się pan dowie, co się stało. Dla mnie i dla niego.

W siarczystym, chłodnym spojrzeniu Corvo pojawił się trochę łagodniejszy błysk.

– Poznam prawdę. Dla niego. Nienawidzę kłamstw – zawarczał, zaciskając pięści. – Wszyscy ludzie ciągle kłamią. Im większe kłamstwo, tym gorzej.

Dziewczyna założyła ręce na piersiach, wciskając je mocno w siebie.

*

– W czasie zdarzenia babinka spacerowała po Radymiczu. Potwierdza mi to pełno świadków: regularnie spaceruje po mieście, żeby rozchodzić reumatyzm. Nie widziała nic podejrzanego – opowiadał Bramin, robiąc pauzy na pożeranie rogalika z pomarańczową marmoladą.

– Nieraz widziała, jak pijany wraca z butelkami okowity z eee... Cytry czy tam Kitary.

– Mandoliny – wtrącił Corvo, siadając na miejskiej ławce.

– Czemu nigdy nie jesz? – zapytał Bramin, kończąc pałaszowanie wypieku.

– Równowaga uniwersum – rzucił zrezygnowanym tonem Corvo.

Po chwili milczenia kontynuował:

– Jedno mnie zastanawia. Zwykle w takich sytuacjach te bogate szuje trzęsą Komendantem, żeby znalazł winnego. A tutaj nie dość, że Deliwski nie zjawił się na miejscu zbrodni, tylko wysłał swoich trepów, to jeszcze prokurator i Kazimierz ewidentnie mają uwalić sprawę.

– Naprawdę myślisz, że to nie samobój, tylko morderstwo? – zapytał Bramin, a widząc zdecydowane kiwnięcie głową, dopytał zaciekawiony: –

Kogo podejrzewasz? Tata? Kolega myśliwy? Jakiś polityczny konkurent albo wróg Feliksa? A może konkubina, która okazuje się już nie partnerką, tylko małżonką, i dostała spadek?

– W tej chwili podejrzewam nawet babinkę z herbaciarni, która zdaje się ekspertką od zielarstwa, pogardzanego dozorcę, kolegę myśliwego z długiem, tatuśka.

– To co robimy? Za dwa dni Kazimierz i pani prokurator zamkną śledztwo.

– Ty idziesz do Mandoliny, rozpytasz kolegów, poszukasz myśliwego. Ja do paniska.

*

Na Nowym Mieście iskrzyło od splendoru rzucanego przez wieloszkłowe wieże, wyciągające chciwie paznokcie dachów aż do chmur.

Wieloszkło było lżejsze i mocniejsze od kamienia, do tego przewodziło magię lepiej niż drewno czy głązy. Było jednak trudne i drogie w obróbce. Corvo zadzierał głowę, próbując się odnaleźć w tym gąszczu migoczącego przepychu.

Właśnie obchodził okalaną tarasem, błyszczącą czernią wieżę, należącą do wszechwładnej gildii produkującej gnomie przysmaki. Ubrani w czarne mundury strażnicy napierali na niego wzrokiem krzyczącym z dala, że jest tu niepowołanym gościem. Zanim zniknął za rogiem pięknej, choć w tym otoczeniu dość skromnej kamienicy, pokazał im środkowy palec.

– W końcu – mruknął, dostrzegając za kolejnym skrzyżowaniem dwie wieże. Jedna była wielobarwna, migocząca jak kryształ. Jej gruba, fosforująca neonowo podstawa rozgałęziała się na siedem ramion, z których każde błyszczało jednym z kolorów tęczy.

Za rzędem budynków czała się kolejna, nieco niższa wieża w stylowym, przyjemnym odcieniu brązu. Jej wieloszkło było mętne, wchłaniało światło zamiast je odbijać. Dzięki temu wyglądało jak zastygłe mleczne opary, barwione na kolor orzecha laskowego. Tarasy poszczególnych poziomów przyozdobiono z wyczuciem za pomocą pięknie rzeźbionych gzymsów i stosowanych tu i ówdzie złocień.

Stojąc przed wrotami z dębiny, wyciągnął jedyny atut – blachę Nocnej Straży – i żwawo umknął do pchanej magiczną siłą windy, nie dając czasu na reakcję konsjerżowi w liberii o migdałowej barwie.

Wyszedł z windy. Podłogę korytarza pokrywał puszysty dywan o barwie migdału. Ściany wyłożono stylową boazerią. Nie było tam ozdób, nie licząc złotych kandelabrow i żyrandoli przypominających korony drzew pokryte świetlistym listowiem z magicznych kryształów.

Corvo podszedł do pokrytego korą biurka zajmowanego przez asystentkę, kiedy otwarły się jedne z licznych drzwi. Wyszedł z nich siwiejący mężczyzna z włosami zebranymi w kok, ubrany w ciemny żupan napięty przez mięsień piwny.

Corvo nie dał się zwieść pozorom i skinął lekko głową, nabierając szacunku na widok doświadczonych oczu, wyćwiczonych ruchów i rękojeści stiletto, wychylającej się nieśmiało zza cholewy wysokiego buta.

Miał do czynienia z byłym wojskowym lub awanturnikiem, który dzięki zdobytej sławie dostał szansę spokojnej starości u boku bogacza jako kompan do rozmowy, lokaj i wprawny morderca, kiedy wymagała tego sytuacja.

– Jestem Fryderyk. Pan to Corvo, prawda? Kacper i Dawid wspomnieli słowo.

– Hmm – odparł Corvo, zamyślając się na chwilę. – Chcę porozmawiać z cześnikiem Feliksem Deliszewskim, Podstarszym Gildii.

Fryderyk wetknął kciuk za szeroki pas, kącik jego ust zadrgał. Gospodarskim gestem wskazał podwójne drzwi, przez które wyszedł, i wtrącił:

– Spodziewaliśmy się pana. Proszę poczekać przy tym stole, zaraz pana przyjmie.



Za pomocą wyrafinowanych alchemicznych sztuczek w wieloszkle osadzono okna zajmujące ścianę. Jedno okazało się drzwiami prowadzącymi na mały taras otoczony złożoną balustradą, przypominającą poskręcane korzenie drzew.

Fryderyk stanął obok drzwi i splótł ręce za plecami, czekając.

Corvo podszedł do balustrady i obrócił głowę w kierunku cześnika. Ten wyglądał jak szlachcic w starym stylu wycięty z szablonu. Nie nosił coraz popularniejszego fraka i peruki, miał podgolone boki i nieco krótszy placek włosów nieudolnie zasłaniający zakola. Na twarzy pojawił się wystudiowany uśmiech okraszony sumiastym, poczernianym wąsem. Kontusz, żupan i złoty pas musiały być wykonane z najlepszych materiałów, największe wrażenie robiła pochwa szabli wysadzana rubinami.

Szlachcic otaksował detektywa. Coś w postawie Feliksa zwróciło uwagę Corvo. Choć zdawał się pewny siebie, drżał mimo wewnętrznej siły. Wokół jego oczu pojawiły się nowe zmarszczki i cienie.

Policzki brudziła chorowita bladość, dziwnie kontrastująca z siłą emanującą ze spojrzenia. Corvo je wytrzymał. Feliks spojrzał w dal, w las świecących barwnie wież. Podinspektor zignorował malowniczy widok wieczornej panoramy miasta, ale z przyjemnością chłonił chłód wiatru tańczącego na tarasie.

– Przyszedłem w sprawie dzisiejszego zajścia. Mam pytania.

– Zwią pana Wilkołakiem? Groźne miano. Zapewne nie wiedział pan, że są tu tarasy, prawda? – zaczął cześnik, a kiedy Corvo milczał, tamten postanowił przyjąć to za potwierdzenie i kontynuował. – I tak to jest, z dołu nie widać wielu spraw, które stają się oczywiste na szczycie.

Zniecierpliwiony Corvo wsadził ręce do kieszeni.

– Podejrzewam, że pański syn nie popełnił samobójstwa. Nie interesuje to pana?

Przez twarz Feliksa przemknął złowrogi cień.

– Kacper i Dawid rozmawiali z inspektorem Kazimierzem. Wspominał o pańskim ekscentryzmie. Dziękuję i doceniam zaangażowanie, zwłaszcza że sprawa do pana nie należy.

Rozmawiali dłuższą chwilę. Feliks praktycznie każde pytanie odwracał w skomplikowaną dygresję tak, że mniej wprawny detektyw pogubiłby się w rozmowie. Corvo jednak dość obcesowo wracał do napoczynanych wątków, do znudzenia powtarzając te same pytania, czym wreszcie poruszył Feliksa.

– Proponuję, abyśmy uczcili pamięć mego syna szklanką wybornego koniaku, który od niego dostałem na dzień imienia, i w ten sposób zapomnieli o całej sprawie – rzucił wreszcie zniecierpliwiony.

Zerknął na zegarek i z irytacją skubnął wąs.

– Nie piję – powiedział twardo Corvo. – Czy ktoś może próbować wykorzystać śmierć Wita, by podważyć pańską pozycję w nadchodzących wyborach na burmistrza? Ktoś panu ostatnio groził? Szantażował pana?

Na skroni lorda Feliksa pojawiła się pulsująca żyłka.

– Nie mam zamiaru szukać sensacji, nadużywać swojej pozycji lub spekulować. Specjaliści zajmujący się tą sprawą stwierdzili, że to samobójstwo. Nie będę komentować plotek o potencjalnej kandydaturze, bo nie są istotne

dla tej jakże intymnej sprawy, jaką jest ta tragedia rodzinna. Proszę nie konfabulować. Nie zrobi pan kariery na mojej krzywdzie, Corvo. Jestem rozzczarowany. Sądziłem, że przyjdzie pan z jakimś konkretem i większą otwartością na moje sugestie. – Feliks odwrócił się wolno w stronę detektywa.

– To ciekawe, że tak niewiele uwagi poświęca pan tej sprawie. Może chce pan ukreślić śledztwo, żeby nie wyszły na jaw pańskie złe relacje z synem? Tradycjonałści kładą silny nacisk na zażyłe relacje między ojcami i dziećmi, prawda? Może bał się pan, że w nadchodzącej kampanii zostanie skompromitowany przez syna, który robi, co chce, całe dni spędzając na piciu i hazardzie?

– Czy wie pan, czym zajmuje się gildia, na terenie której się teraz znajdujemy? Wykonujemy rzemieślnicze rdenie do różdżek, produkcja masowa, międzynarodowy kapitał. Niejeden z pańskich kolegów biega z różdżkami wychodzącymi z naszych manufaktur. Znam bardzo dobrze przywódcę pańskiej formacji. Przy niezobowiązującej rozmowie na najbliższym bankiecie mogę wspomnieć mu, że poruszyła mnie pańska postawa. Proszę jednak pamiętać, że pierwsze wrażenie da się zrobić tylko raz. Może mnie pan wzruszyć, może jednak postanowi pan być grubiański i agresywny, tak dalece nietaktowny, że pożałuję wszelkich kontaktów i kontraktów z Nocną Strażą. Pana wybór.

Corvo nie zastanawiał się nawet przez chwilę, tylko wypalił obcesowo:

– A ja nigdy nie zamieniłem słowa z przywódcą mojej formacji. Wątpię, żeby niezobowiązująca rozmowa o takim robaczku jak ja zapadła mu w pamięć.

Feliks odwrócił się w kierunku Fryderyka, dwukrotnie pocierając złoty sygnet. Fryderyk skinął głową i opuścił balkon, zostawiając ich samych.

– Od pańskiego gadania godnego podrzędnego poszukiwacza sensacji rozboleła mnie głowa. Powtarzam po raz ostatni: proszę zostawić sprawę profesjonalistom i nie działać bezprawnie.

Corvo uśmiechnął się jadownicie i zripostował:

– Nie martw się, będę działać co najwyżej na granicy.

– Nie przypominam sobie byśmy przechodzili na ty – rzucił oschle Feliks.

Po chwili milczenia dodał:

– To prywatna placówka pełna cennych komponentów i kuźniarskich tajemnic, nie można tu wchodzić bez wcześniejszego upoważnienia. Proszę sobie darować kolejne wizyty.

– A może syn działał panu na nerwy, bo uparł się na synową bez tytułu, co? Myśl, że niepokorny Wit dostanie fortunę, którą będzie obracała nie-lubiana Agata, a grzecznemu kuzynostwu od strony miecza przypadnie mniej, była może frustrująca? Puścili nerwy i zmusiłeś młodego do skoku? Kiepsko by to grało przed wyborami, prawda?

Feliks zaczął skubać wąż, dygocząc z nerwów. Czekał niecierpliwie, aż Fryderyk wróci na taras, i wtedy skinął głową w kierunku Corvo, traktując go jak powietrze.

Fryderyk podszedł do Corvo i złapał go pod rękę.

– Koniec audyencji – zakpił. – Wychodzimy.

*

Siedział na schodach ganku, pociągając wino z gąsiorka, w równym stopniu zalany alkoholem co łzami. Kawał chłopca, a jednak wyglądał żałośnie.

Na widok Corvo z trudem wstał ze schodka, odganiając go wulgaryzma-mi. Zatoczył się do łuku i kołczana leżących na ziemi.

Niezrażony przywitaniem Corvo otworzył furtkę i wszedł na ogródek, pokazując tysemu myśliwemu odznakę.

– Nocna Straż. Jaromirze, mam parę pytań o Wita Deliszewskiego, który wyskoczył na miasto nie tym wyjściem, co trzeba. Odstaw łuk, bo będziesz mieć kłopoty.

Jaromir naciągnął łuk i desperacko trzymając równowagę, zaczął celować w Corvo. Podinspektor schował blachę i po chwili spokojnej obserwacji, ruszył wolno w jego kierunku.

Jaromir ryknął coś i strzelił. Strzała poleciała leniwie, kołyszac promieniem. Corvo wyszarpnął lewą rękę, pocisk zbliżał się w kierunku torsu, aż wreszcie końcówka grota wbiła się z sykiem w wystawione, mięsiste przedramię detektywa.

– Ty chwoście – powiedział Corvo, wpatrując się w rękę, z której sterczała strzała. Grot napierał czarną kropkę zataczającą coraz szersze kręgi. Czerń uwypukliła się niczym naprężona błona, oślaniająca skórę. Corvo wyrwał strzałę.

Jaromir wytrzeszczył oczy, jakby nie wierząc w to, co zrobił. Zarzucił kołczan i pobiegł w kierunku furtki. Całkiem żwawym sprintem wyminął Corvo i uciekł.

Corvo przeklął, patrząc na gładką skórę przedramienia. Wybiegł za furtkę i się rozejrzył. Jaromira nie było. Detektyw się zawahał, jakby rozważał, czy prowadzić pościg, czy rozejrzeć się za poszlakami.

Irytujący artefakt w sakwie zawibrował tak mocno, jakby chciał rozerwać torbę. Przeklińając, Corvo schował się na tyłach domu i założył tę kretyńską maskę, by wysłuchać, co tak pilnego ma do powiedzenia Gonzo.

Cierpliwie wysłuchał marudzeń, czekając, aż ten wreszcie przejdzie do rzeczy.

– Bramin został napadnięty po wyjściu z Mandoliny! Sklepało go dwóch rudych typów. Nic poważnego, ale spędzi parę dni w szpitalu.

– A to sucze chwosty – warknął, po czym ściągnął maskę niosącą głos, podszedł do ganku i uderzył z całej siły pięścią w drewnianą belkę podtrzymującą dach.

Mieszkająca tam kuna syknęła z oburzeniem i schowała się wewnątrz.



Nocą szyld Mandoliny robił duże wrażenie. Jego twórca zastosował trzykrotne powiększenie względem prawdziwego instrumentu, a zamiast strun grube pręty pokryto specjalną farbą, która w dzień spijała światło, a w nocy rozświecila metal na jasnoniebiesko.

Corvo wydawał się jednak ignorować Mandolinę, zamiast tego spacerował po okolicznych zaułkach. Wsadził ręce do kieszeni i kroczył przed siebie, czekając. Podeszli, gdy z wielkim zainteresowaniem oglądał małe wysypisko cuchnących odpadów z egzotycznej restauracji.

Rude obdartusy spod ciemnej gwiazdy z opalonymi gębami cuchnęły brudem i piwskim. Obaj podpierali się kijami i szli wolno, prosząc o jałmużnę. Cekał spokojnie przed dołem pełnym macek i zgniłych resztek warzyw, wciąż trzymając ręce w kieszeniach.

Menele się rozdzielili i unieśli kije, blokując mu wyjście z wąskiej uliczki.

Łowy zakończone.

– Macie dla mnie wiadomość – oznajmił gniewnie Corvo. – Parę godzin temu obiliście jakiegoś grubaska za kilka złotych monet.

– Tso? – wybełkotał jeden z nich.

Drugi spojrzał z irytacją na kolegę i pacnął go delikatnie kijem w ramię.

– Sza! – upomniał kolegę, ale sam spojrzał na Corvo z niepokojem.

– Kto was nasał, chwosty?

– Musisz kimnąć. Wpakujemy cię do łóżka, koleś!

Mimo że pozwolił im na zadanie kilku ciosów, przy pomocy kastetu dość gładko rozprawił się z obszczymurkami. Złapał znokautowanych i wrzucił ich do sterty śmieci. Schował kastet i wytarł ręce w tył spodni.

Kłęknął przy śmieciowisku i sięgnął po coś, następnie odwrócił się, chowając lewą rękę za plecami. Wolnym ruchem dobył rapiera, złapał go jak pałkę i unióś pionowo z rękojeścią na wysokości prawego ramienia.

Tym razem u wylotu uliczki czekało dwóch mężczyzn, obaj ubrani byli po szlachecku, z czego jeden dość strojnie. Nosili gęste rude brody, ale rozpoznał ich po wąsach, oczach, sposobie chodzenia i rękojeściach szabel. Brody mieli oczywiście doklejone.

– Co to? Wy jesteście przydupasami Feliksa – zaczął głosem dostrzegalnie drżącym od gotującej się furii. – Kazaliście obić Bramina?

– Ja nic nie wiem, spaceruję sobie tutaj, ale widzę, że jakiś podejrzany typ napada w zaułkach na biedotę – wyrecytował jeden z nich, uśmiechając się wrednie.

– Lepiej posłuchać rady mądrzejszych od siebie i odpocząć od nielegalnego śledztwa – dodał drugi. – Odprowadzimy pana grzecznie do domu i przypilnujemy, żeby znajomi tych biedaków nie zrobili krzywdy.

– Gorze mi – podsumował dobitnie Corvo, marszcząc brwi. – Ja to jedno, ale od Bramina wara! Skoro nie jesteście Kacprem i Dawidem, to w tych okolicznościach muszę was aresztować i zidentyfikować. Dwóch podejrzanych typków utrudniających czynności śledcze.

Kacper wyciągnął złożoną szablę i ustawił się w pozycji pojedynkowej. Obaj młodzieńcy zwrócili uwagę na amatorską postawę bojową Corvo, na ich twarzach pojawiły się lekceważące uśmieszki. Dawid zaśmiał się, dobywając ostrza.

– Dziadku, uczyli cię w ogóle tym machać? – zapytał, chowając lewą rękę za plecy i stając w jednej z klasycznych póz szermierczych.

– Tym? A tak, mamy obligatoryjnie dwa tygodnie szkoleń w roku.

– Dwa tygodnie, uuu – przedrzeźnił go Dawid. – Weź go – polecił Kacprowi, który zaczął podchodzić tanecznym krokiem w stylu dwa do przodu, zmiana kierunku, dwa do przodu.

Corvo czekał, kołysząc rapierem nad głową.

– Ty wyglądasz na szlachtę-biedotę co poza tytułem niczym nie różni się od zwykłego chłopca – powiedział do Dawida, po czym wskazał ostrzem

rapiera na Kacpra. – Ty jesteś lepiej ubrany, ale on wydaje ci polecenia. Z tym złotym kubraczkiem i poślacaną szabelką wyglądasz mi na kupieckiego syna, który chce się zakręcić w towarzystwie i zostać poślacanym lordem. Chodźcie, chodźcie. Uczą was tych zabaw arystokracji, walka do pierwszej krwi, przerwy po punktach, sekundanci i inne pierdy. Pokażę wam inną zabawę.

Obu rozwścieczyły komentarze, ale Corvo nie udało się sprowokować ich do głupich ataków. Kacper tańczył i kołysał szablą, zbliżając się niemrawo, ale niecierpliw Corvo ryknął i puścił się biegiem w kierunku kupieckiego syna.

Na twarzy Kacpra zobaczył strach, chłopak odskoczył do tyłu i przygotował zastawę, na którą przyjął cięcie rapiera. Strach zmienił się w pobłażanie, chłopak odbił broń i zakręcił nadgarstkiem tak, że wykręcił rapier z ręki Corvo.

– Rapierelem się nie tnę – rzucił Kacper, cofając się tanecznie o trzy skoczne kroki.

Corvo uśmiechnął się mściwie, mimo że broń zaklekotała na ziemi parę długich kroków dalej. Wyciągnął lewą rękę zza pleców i cisnął nadgniłą, tłustą macką w kierunku Kacpra. Ten odruchowo zrobił wypad i wymach, szabla rozcięła mackę.

Rozległo się obrzydliwe plaśnięcie, Corvo był już w trakcie dwóch, trzech susów, by zbliżyć się do szermierza. Złapał za tylec szabli, blokując ruchy oniemiałego Kacpra.

Ten złapał oburącz rękojeść i wiercił ostrzem, ale Corvo nie puszczał, dając pokaz siły, mimo że na wykrzywionych palcach wczepionych w krawędź szabli pojawiły się czarne plamki. Corvo ryknął przeciągle, zmiatając Kacpra za pomocą zamaszystego prawego sierpowego.

Na widok masakry towarzysza Dawidowi zrzedła mina. Po raz pierwszy niepewny ustawił szablę poziomo nad głową w pozie defensywnej.

– Zanim nauczę was manier, pokażę zderzenie waszej perfumowanej teorii z gównianą praktyką. Tak walczy ulica – wycharczał Corvo, dysząc.

Złapał Kacpra za fraki, podniósł i z kolejnym rykiem cisnął w kolegę, który odruchowo odrzucił szablę, by złapać kamrata.

Ten nietypowy pocisk zwałił go z nóg.

Zanim ściągnął z siebie obitego Dawida, padł na niego cień Corvo.

– Nie, proszę! Jeśli zrobisz mi krzywdę, masz przesrane w papierach!

Corvo zamknął pięść z kastetem w drugiej dłoni i przechylił głowę, strzelając karkiem. Nasłuchiwał, marszcząc nos.

– Zaraza, patrol straży tu biegnie...

Zmilczał, mnąc przekleństwo.

– Idziemy na kompromis. Ja was nie wylegitymuję, a wy dajecie spokój mnie i moim kolegom. Nikt się nie dowie, ale przynajmniej nie skończysz zbyt połamany. Zgoda?

– Z-zgoda! Zaraz, jak to „zbyt”?! – wystękał przerażony Dawid, zanim spadł na niego bucior. Corvo z mściwą satysfakcją wpychał mu go w twarz

– No, zaraz będziemy kwita. Raczej nie przyznacie się Feliksowi, że złałem wam tyłki. Chyba nie wpuści was do rezydencji, bo trudno, żeby w takim czasie pozbyć się tak intensywnego smrodu.

– Smrodu? – zapytał nieprzytomnie Kacper.

Corvo wrzucił ich tam, gdzie jego zdaniem idealnie pasowali. W stertę śmieci tuż obok dwóch rudowłosych mętów.

Westchnął ciężko, pomacał wewnątrz prawej dłoni i ruszył w kierunku Mandoliny.



Grupa bardów przygrywała w kącie. Przy kilku stolikach bogaci mieszczenie grali w karty, pijąc i paląc lulki. Corvo podszedł do lady i położył odznakę. Barman wziął chustkę z wyszytą mandoliną i w milczeniu czyścił kryształową szklanice, unosząc brwi w niemym pytaniu.

– Dobra, nie mam ochoty na pieprzenie. Wit Deliszewski, który często tu grał w karty. Powiesz mi wszystko, co o nim wiesz. Śledztwo prowadzę, została z niego marmolada, jak chłopak ćwiczył zawody w wylatywaniu z okien, tylko zapomniał skrzydeł.

– Co? – zapytał niemrawo barman, opierając się ciężko o ladę.

Trudno stwierdzić, czy miał problemy z trawieniem, czy cierpienie, które pojawiło się na jego twarzy, było owocem samokrytycznego podejścia do fatalnej gry aktorskiej.

– Już mówię, co wiem. W takim razie niech będzie na koszt baru. Pan to pewnie wódka albo whiskey?

Corvo powstrzymał go gestem ręki i wymruczał:

– Nie piję.

Zdziwiony barman wziął do ręki odznakę i przyjrzał się jej uważnie. Widząc karzące spojrzenie Corvo, uniósł pojednawczo ręce i wyjaśnił:

– Nie widziałem Nocnego, co nie chleje, jak mu darmo dają.

– Skończ pieprzyć, zacznij mówić wszystko, co wiesz o Wicie.